Lwów, 10. Marca. Nr 29. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział, ce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za do. płatę 10 kr. stępl. za każdorazwe umieszczenie. Bioro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Epilog.

Było to w rokn 1851, w miesiącu sierpniu, w dzień pogodny i piękny, o wczesnej popołudniowej godzinie, kiedyśmy z panem Zygmuntem moim najdawniejszym i najukochańszym przyjacielem, żwawą zajęci rozmową, przechodzili się tam i na powrót szkarpami. Szkarpy, jest-to miejsce przechadzek we Lwowie, ciągnące się od podnóża zamkowej góry aż do namiestnikowskich pałaców, jest to coś na kształt francusko-angielskiego ogrodu, coś na kształt szkółki drzewek na większą skalę, coś na kształt czegoś, co nie jest podobne do niczego i z czego przy najlepszych chęciach nie można było zrobić nic lepszego. Dla tego też te szkarpy lwowskie nie mają żadnego uroku, nie wabią one nigdy do siebie gości z świata eleganckiego, ani wielbicieli piękności natury lub sztuki, ani nawet cudzoziemców, osobliwości tego miasta oglądających; — ale my, którzyśmy pamiętali te szkarpy jeszcze w stanie dzikości i spustoszenia, którzyśmy tam niegdy, wymknąwszy się o świcie z konwiktu, z książeczką w ręku przepędzali całe poranki, którzyśmy z naszym zachmurzonym pedagogiem na czele trawili tam na palcatach i wesołych igraszkach wszystkie przedwieczorne godziny, którzyśmy tam mieli nasze dawne znajome ławeczki, nasze ukochane drzewka a na tych drzewkach nasze własne i naszą własną ręką porzeźbione imiona, — myśmy tam nieraz i późniejszemi laty lubili zaglądać i dla nas miały te szkarpy i urok, i piękność, i lubo same drobne i rosprószone, jednak bardzo miłe wspomnienia. Wszakże oprócz tych wspomnień przyjemnych, któreśmy znajdowali na szkarpach, można tam było nieraz zdybywać i inne rzeczy, niemniej godne wspomnienia. Nie chcę tu mówić o owych pięknych, woniejących młodzieńcach, którzy się tam pokazują o pewnych godzinach, przybiegają podwójnym krokiem od nieskończonej partyi, stają pod cieniem rozłożystego kasztana, oglądają się jak wiatraki na wszystkie strony, uzbrojone lunetą oko zapuszczają w głąb jakiejś ciemnej alei i nareszcie razem z szelestem jakiejś sukni fularowej, albo z mignieniem jakiegoś wualu, jakby duchy znikają... Niechcę tu mówić o owych śnieżnie ubranych piastunkach, — fertycznych bonach francuskich i tłuściutkich niemowlętach, których tam zawsze tak liczne jest grono a około których z taką ostrożnością i z takiem zajęciem kręcą się starzy, ugrzecznieni kawalerowie, prawdziwi amatorowie niemowląt... Ale chcę wspomnieć o owych przewybornych figurach, które tu na samotnych przesiadnją ławeczkach a które nieraz tak są oryginalne, że tylko by je trzeba tak jak są przenieść na papier, ażeby się stały arcydziełami sztuki. Szkarpy bowiem o letnej porze jest to ostateczna ucieczka wszystkich miejskich oryginałów, wszystkick emerytów cywilnych i wojskowych, wszystkich dziwaków, osmuconych nieszczęściem, opętanych jakąś złością lub nienawiścią, wszystkich mężów, którzy przed rozgniewanemi pouciekali żonami, wszystkich zdradzonych lub zawiedzionych kochanków, a więc i tych którzy marzą o odwecie lub zdradzie, i tych którzy surowej przed sobą samym potrzebują spowiedzi, a nakoniec i owych najnieszczęśliwszych ze wszystkich, którzy już dzień cały lub więcej przebyli o głodzie i myślą nad tem, jakiemi-by środkami mogli głód ten odpędzić nazajutrz!

Rozmowa nasza nie pomnę już około jakiego krążyła przedmiotu, to wszakże pamiętam, że każden jej period zaczynał się od owego względnego słówka *gdyby*, które zwyczajnie unicestwia wszystkie rozmowy: były to bowiem czasy, w których tylko co pokończyły się wielkie światowe dramata, i jak wszystkie dramata takie pozamieniały się w końcu w tragedye. Koniec ich już był wiadomy i nie było o nim co mówić a jeżeli się o nim mówiło, to tylko w sposób zapytujący: jaki-by był ten koniec, gdyby było to albo owo? — Pomimo całego nicestwa takiego rodzaju rozmowy pan Zygmunt jednak prowadził ją z wielkim dowcipem i wesołością, był on bowiem zdania, że wszystko jest dobre, co jest, i mówił, iż woli zawsze tragedyę klasyczną w której bohaterów zabija konieczność, niżeli romantyczną, w której fantastyczny poeta podług humoru zabija i tych i owych, którzy mu się nawiną pod rękę, a nakoniec przestraszny mnogością trupów, sam pada pod ciosem obłąkania, albo samobójczego topora, zostawiając chaos prawdziwie przedstworzenne na pamiątkę swojego istnienia.

Przeciwko takiemu zdaniu da się i to i owo powiedzieć, zwłaszcza że ta konieczność, która musi koniecznie zabijać, nie może być nigdy określoną dokładnie, — więc rozmowa nasza się ożywiała coraz bardziej i zaczęła nam grozić nieskończonością, — kiedyśmy nagle obadwa stanęli i obadwa wzrok wytężyli w jedną i tę samą ławeczkę.

W samej rzeczy ławeczka ta przedstawiała widok dość zajmujący. Siedzieli na niej bowiem dwaj staruszkowie, którzy tak byli do siebie podobni, jak dwa tuzy żołędne. Obadwa mieli twarze pociągłe, wyżółkłe i zapadnięte, obadwa nosy jak tureckie kulbaki, obadwa kapelusze białe z szerokiemi kaniami na głowach, obadwa surduty tabaczkowe po same kostki, obadwa buty palone z kutasikami u cholew, obadwa milczeli jak mumje — i tylko tem się co chwila różnili od siebie, że kiedy jeden laską figury w piasku rysować przestawał, to drugi zaczynał.

— I cóż ty na to? — spytał mnie mój przyjaciel po długiej chwili uśmiechającej się obserwacyi.

— Ja na to, że to jest rzecz arcy-zabawna, prawdziwy prototyp owych sławnych w naszym języku braci marmurków.

— Ale kiedyś dobry fiziognomista, — rzekł na to pan Zygmunt, — o czem mi tak często wspominasz, to powiedz mi, kim być mogą ci ludzie i jaki jest ich wzajemny stosunek?

— Są to najpierwej, — rzekłem na to z przyzwoitą fiziognomistom powagą, — niezawodnie bracia rodzeni jeżeli nie bliźnięta, ich charaktery albo bardzo mało albo wcale nic się nie różnią od siebie. Obadwa albo służyli w wojsku, albo byli profesorami szkół niższych...

— Dla czego niższych? — zapytał prędko mój towarzysz.

— Bo za niskie mają miny na professorów szkół wyższych.

— A dla czego profesorami?

— Profesorami albo wojskowymi, powiadam, i to dla tego, że widzę wielką sztywność w ich postaciach i pedantyczną miarę i czystość w ich kostiumach.

— A dalej?

— Dalej, obadwa dzisiaj nie mają żadnego zatrudnienia.

— Dlaczego?

— Bo gdyby mieli jakie zatrudnienie, to-by w dzień powszedni o tej godzinie nie rysowali figur w piasku na szkarpach, tylko-by siedzieli przy pracy.

— Prawda, a charaktery?

— Pedanci są, może nawet rygoryści, zdają się mieć spokojne sumienia, dobrotliwe serca, wiele wytrwałości, jeszcze więcej cierpliwości, ale mało oświaty a mniej jeszcze rozumu.

— Otóż ci powiem, — rzekł na to pan Zygmunt, — żeś się grubo omylił, bo najpierwej nie mogą sobie być braćmi, kiedy jeden z nich nazywa się Łaski a drugi Sieniawski.

— Jakto! — zawołałem, — nie bracia? to być nie może!

— Cha cha cha! — zaśmiał się mój towarzysz, — a jak cię to zadziwia, że czegoś nie zgadłeś! Ale uspokój się, będzie i wilk syty i owca cała. Chodź, opowiem ci ich historyę, którą mi przed trzema dniami opowiedziano.

To rzekłszy, wziął mnie pod ramię i śród przechadzki po różnych alejach, opowiedział mi całą historyę tych braci staruszków. Historya ta była niby-to cała, a przecież nie cała, brakowało jej bowiem wielu szczegółów o innych osobach, należących do tej sprawy, brakowało jej tu i owdzie ścisłego związku a zresztą ostatecznego zakończenia. Ale i to już, czegom się z ust jego dowiedział, zajęło mnie mocno, osobliwie dla tego, że powieści tej głównemi osobami były prosto z życia wyjęte dwa typy owczesnej młodzieży, — typy tych sławnych marzycieli socyalnych i politycznych, którzy za młodu obiecywali tak wiele, którzy tyle niezaprzeczonych posiadali zdolności, i którzy wszyscy, jeżeli zawczasu z owego błędnego koła niewczesnych sporów o czcze teorye albo martwe przesądy niewyleźli, i nic zgoła nie ziścili i sami się zmarnowali. Takich ludzi sam znałem wielu, — takie typy przesuwały się ciągle przez moją wyobraźnię. — Ich obrazy pochwycić i postawić na drogach przyszłych pokoleń, jako drogoskazy odwracające ich kroki od zdradliwych topielisk serca i rozumu było dawno mojem marzeniem. Teraz znalazłem takie typy w życiu i znalazłem ich prawdziwą historyę. I to mnie mocno zajęło i pociągnęło za sobą wszystkie władze umysłu.

— I cóż tak myślisz? — zapytał mnie mój przyjaciel.

— Myślę nad tem, — odpowiedziałem, — jakim-by sposobem przyjść do wiadomości końca tej powieści.

— Sposobem najprostszym, pojechać do ks. Augustyna, bo jużciż on wie najlepiej o wszystkiem.

— A znasz go?

— Ja go znam osobiście, a gdybym go nawet nie znał, to o milę od niego mieszka pan Aleksy, wuj mój rodzony, mogli-byśmy więc przez niego...

— Jakto? więc i ty-byś pojechał?

— Czy nie jechałem wszędzie z tobą, dokąd'eś tylko mnie wezwał?

— Ach? tyś kochany i nieoceniony! — zawołałem na to z radością, — więc jutro jedźmy?

— Dlaczego jutro, kiedy możemy dziś jeszcze? Lato, noc piękna, księżyc.... trąbka pocztarska, wschód słońca, który niestety widujemy tak rzadko...

— Więc dzisiaj... ale chodźmyż oglądnąć jeszcze przedtem ten stary domek Sieniawskich i pałac Edmunda.

— Chodźmy! — odpowiedział najpoczciwszy pod słoń-

cem pan Zygmunt, który jeszcze nigdy mi w niczem się nie sprzeciwił.

W kilkanaście minut potem byliśmy na tem miejscu, gdzie stał dawniej domek Sieniawskich. Stał dawniej, mówię, bo natenczas niestety już i śladu z niego nie było. Koło dawnej furtki tylko stał słup z napisem: Ten grunt jest do sprzedania. Pytaliśmy się o szczegóły tak nagłego zniknienia domku, lecz powiedziano nam tylko tyle, że razem zniknął z pałacem. Rzuciliśmy prędko oczyma na drugą stronę drogi i o smutny widoku! — i pałacu już wcale nie było. Taras ów, który się tak niebezpiecznie zwieszał nad drogą, podmyła nareszcie woda podczas jakiejś gwałtownej ulewy, i usunął się; a z nim razem zadrżał pałac w swych fundamentach i runął. Domostwo to mogło-by było jeszcze stać długo, ale zaniedbali je właściciele, — runęło więc, a jego głazy i cegły rozniosła uboga gawiedź Sieniawszczyzny pomiędzy siebie. Teraz jeszcze tylko kupka niepożytecznych kamieni i gruzu leżała na tem miejscu, a nad nią ostatnie przygarbione pochyliło się drzewo. Westchnęliśmy smutnie... sami nie wiedząc dla czego i pospieszyliśmy czemprędzej do miasta, ażeby kazać jeszcze za dnia wypakować powozik i konie zamówić na poczcie.

We dwa dni potem trąbka naszego pocztyliona wielkiego hałasu narobiła we dworze pana Aleksego.

Twarzyczki w oknach, lokaje w ganku, panny służące w krużgankach, kucharz i kuchciki przy oficynie, wszystko to się migało przed naszemi oczyma, jak skrzydełka jakiego roju różnobarwnych motyli a ztąd i z owąd dały się słyszeć radośne głosy: Goście przyjechali! — Aż też nakoniec i pan Aleksy wytoczył się na ganek w mocno kwiecistym szlafroku i z wielkim bursztynem w ustach, który odjął, wołając do nas:

— A! witajcież mi miejskie furfanty! żeby mi wieś kto darował, to-by mnie tak nie ucieszył!

Pan Aleksy, rodzony wujaszek pana Zygmunta a przez to i mnie także nie obcy, był to człowiek ogromnego wzrostu i tuszy ogromnej. Za młodu robił on wszystko z wszystkiemi, więc trochę się uczył ale nie bardzo, bił się do syta swojego czasu, trochę hulał i trochę się kochał a teraz gospodarował po staroświecku, ale bardzo porządnie, na swoim pięknym majątku, miał żonę, którą kochał nad wszystko a jeśli to można, nad miarę, miał dwie prześliczne córeczki już na wydaniu, jadł doksonale, lubiał kielich ale w dobrej kompanii, bez gości żyć nie mógł i był sobie z resztą kochanym, kochającym i bardzo poczciwym człowiekiem. Pani Aleksowa była to wielkiej zacności kobieta, wychowała swoje córeczki wybornie, lubiła towarzystwo i pamiętała zresztą o wszystkiem o czem jej mąż zapominał, ale za to miała troszeczkę przeważny głos w niektórych sprawach domowych, na co pan Aleksy z szczerej miłości zezwalał. Jaki był dom ten, w którym tacy mieszkali ludzie, nie potrzeba już opisywać i chyba tylko dodać z westchnieniem, czemuż takich domów coraz mniej w naszym kraju!

Kiedyśmy się powysadzali z powozu, pan Aleksy nas wycałował bez najmniejszego względu na fryzury i kołnierzyki a wycałowawszy, prowadził prosto do żony, mówiąc wesoło:

— A eleganty! a jakto zaraz poubierane! chodźcież zato prosto do mojej żony i panien, i nudźcie się tam z kobietami, kiedyście już poubierani.

Pani i panny i jakaś jeszcze tam jejmość, jeszcze więcej nam rade były, niż sam jegomość, bo nowi goście nową rokują zabawę, a cały dom ten po staropolsku lubił wesołość i zabawę. Pan Alexy też chodził wielkiemi krokami po salonie i mało komu dał przyjść do słowa, powtarzając bezustannie:

— Ale to mospanie w kąt Demostenes i Seneka przed waszym konceptem!

Bo co to! Prosto do nas przyjechać ze Lwowa! Poczekajcież teraz, koncept za koncept! ruski miesiąc mi tu odsiedzicie i święty Boże nie pomoże! Będziecie bawić wy nas a my was na wzajem! Kiep świat, kiedyśmy razem! wymyślimy sobie jakieś imieniny, damy sobie balik i jeden i drugi, nuż za nami sąsiedztwa! Pani Franciszkowa ręczę że nie wytrzyma i huknie nam fetę taką, jak przeszłego roku! A prócz tego nuż polowania, nuż wizyty, nuż kuligi, choć to lato, a! żeby też gdzie się tymczasem zaimprowizowało jakie wesele, to i to nam nie zaszkodzi. Ot! powiem po staropolsku: bodaj was diabli....

— Olesiu! — zawołała na to pani domu z uśmiechem; mąż uciął nagle i za staropolskie wyrażenie wycałował nas po raz wtóry z równym pierwszemu afektem.

Afekt za afekt, a dobre za nadobne, ale przecie nakoniec chcąc nie chcąc musieliśmy wyznać, co nas tu sprowadziło i uprzedzić, że przed wszystkiem innem musimy odwiedzić ks. Augustyna, Szłyka, wioskę Kamila, Jar pogański, dom Edmunda, Burkę i t. d.

Zachmurzył się na to pan Alexy, przeżegnał się i rzekł:

— W imię ojca i syna! jeszczem też nigdy nie słyszał, żeby szlachta przyzwoita, herbowa i już *tandem* osiadła, puszczała się na jakieś karpackie wędrówki po Jarach pogańskich! A co to? botanicy wy jesteście, czy geologowie? — Chcecie poznać ks. Augustyna, to wam poszlę po niego, Szłyk jeszcze dzisiaj na wieczór tu będzie i Edmund tu przyjedzie i z żoną i z dziećmi i z niańkami i z Burką i z całem stadem swojem. Chcecie to wszystko oglądać, to będziecie oglądać, tu u mnie na gruncie, ale nie włóczyć wam się po górach i jarach, jakbyście byli jacy *arme-reisende* albo angielscy turyści! I proszę was, wstydu mi nie róbcie, bo na co to góra ma iść do proroka, kiedy prorok przyjdzie do góry!

Długośmy się musieli męczyć z panem Alexym, nimeśmy go przekonali, że taka podróż nie jest żadnym uszczerbkiem szlachectwa ani osobistej godności, a prawdę mówiąc, tośmy go nawet nie przekonali, tylko przeparli. Ale i przeparty zgodził się przecie nakoniec z nami i zaraz po śniadaniu i kilku toastach *in gratiam* naszego przybycia, kazał nam dwa szparkie hucuły osiodłać i odprowadził nas pieszo aż do samej bramy.

(C. d. n.)

Najnowsze dzieła.

Tomira.

Misteryum przez Deotymę.

Rok upłynął, jak wypowiedzieliśmy nasze zdanie o Deotymie. Odtąd o jej utworach napisano obszerne krytyki, z których jednę niezrównalny jej talent apoteozowały, drugie zaś były istotnemi paszkwilami. Młodszego pokolenia pisarze wzięli postać improwizatorki za osnowę da bujnej swojej wyobraźni i zamiąst rzetelnej i wyświecającej krytyki popisano górnolotne poemata. Inni zaprawieni w szkole krytyki niemieckiej, pobudowali naprzód ogromne rusztowania, a wyprowadziwszy na nie bohaterkę, nie zważali, że są bez publiki, której śród wstępu zrobiło się już ckliwo. To też filozoficzny systemat krytyka przemknął niezrozumiany, jak bańka mydłana, pomimo że często używał słów ciężkiego kalibru, jakiemi są „*objektywność* i *subiektywność*.“

Rozprawy podobne byłyby nader niewinne, gdyby tu chodziło o czytającą publiczność; ta bowiem, trafiwszy na takie subtelności filozofii nieswojskiej, obróciłaby spokojnie karty, szukając innego artykułu. Ale tu szło o siedmnastoletnią dziewicę, o młody talent poetycki tak uroczo się rozwijający — szło o zdrową radę i nadanie kierunku młodej wiotkiej roślinie, która szybko jak każdy geniusz w pień wzrastała i owoce wydawać poczęła. Przecudną pieśnią młodej poetki przebudzeni dawni klasycyzmu kombatanci nastroili rozbite lutnie swoje i uderzyli społem w pieśń pochwalną, bałwochwalczą. Z zapomnianego Olimpu wywołano postacie upiorów, śród których tronować miała Deotyma, nowa Safo, Pytya i t. p. I ich głos przeminąłby mimo uszu słuchaczy, z których nie wszyscy wtajemniczeni byli w dźwięki pogrobowe grecko-rzymskiej liry, gdyby go wraz z słuchaczami nie była słuchała dziewica ośmnastoletnia, Deotyma.

Czem dla walecznego Hanibala była niegdyś Kapua, tem dla młodych, wzrastających talentów jest Warszawa. Ledwo jaki taki talent zabłyśnie, ledwo próbkę nastroju publiczność usłyszy, już idą na wyścigi w pochwałach dzienniki warszawskie, budują do osądzenia mistrza nowe wyobrażeń systemata, a włożywszy mu na skroń koronę zasługi, wsuwają mu w kieszeń patent nobilitacyi unieśmiertelnienia. Jest nawet między nimi mąż, wielce literaturze ojczystej zasłużony, który oparłszy się na swych zasługach, uzurpuje władzę dzielenia żyjącej literatury na epoki, stawiając w miejscu do tych epok posągi, z ludzi żyjących. Życie jednak jest ruchem, to też szanowny krytyk gniewać się nie powinien, jeźli ustawione przez niego jakby posągi figury żyjące, opuszczają jedne po drugich swoje stanowiska i z pierwszych stają się ostatniemi!. Ileż to tu w ostatnich pietnastu latach potworzono w Warszawie epok i rozdziałów literatury narodowej; ile imion i dzieł wymieniono, które te epoki i rozdziały otwierać mają, a które póżniejszy bibliograf na jednej karcie pomieści, podając potomnej pamięci z całej książki miejsce wydania, i liczbę stronnic!. *Sic transit gloria mundi!!.*

Dodatnia pism warszawskich krytyka nie kształci pisarzy, nie rozwija w nich sił i władz nowych, ale usypia jak woń słodkiego maku. Toż nadaremnie szukamy dzisiaj owych wielkich poetów, któremi przed niedawnemi laty szczyciła się Warszawa; naderemnie pytamy się o imiona A.C, A.G. G.Z. W. Umilkli; widać że ich krytyka wyżej postawiła jak im dozwoliły wyleźć siły i własne sumienie. Skończyło się na kilku akwarelach a mnogich nadziejach, na pobieżnym szkicu a uprojektowanem malowidle, na wydanych ulotnych wierszykach a grubym poemacie w tece.

Otóż przyszła kolej i na Deotymę. Rozumie się, powiedziano już z trójnogu, że Deotyma ma stanowić osobną w literaturze epokę. Dotąd atoli jakoś to się nieuiszcza. Deotyma może wprawdzie stanowić dotąd epokę w dziejach fenomenologii, ale nie w literaturze. Żaden z jej dotychczasowych utworów niema takiej cechy, jakiej na rozpoznanie nowej epoki potrzeba. Jeżeli czem uderza, to *sposobem* tworzenia, ale nie tworem samym, o którym potomność z tego będzie wyrokować, czem on jest w istocie ale nie jakim sposobem, i w jak krótkim czasie był stworzony. Przeto uczucie podziwu wzięto za wrażenie, jakie mistrz na duchach sprawia, a pruchniejące dęby stoletnie ugięły się kornie przed młodą latoroślą, podziwiając w niej zieloność i życie, której same nie miały.

Z tąd owionął młodą improwizatorkę pierwszy dym kadzidła i rozbudził w niej poczucie jeniuszu. Wszystko sypało jej oklaski i nikt jej dróg nie wskazał, jakich jeszcze nie mógł dojrzeć jej wzrok dziewiczy. Ozwała się w prawdzie krytyka ujemna w Krakowie, ale chcąc zrównoważyć potędze dodatniej, wzięła za broń nieszlachetną, a błądzącą poetkę, zamiast zaprowadzić na drogę utartych wyobrażeń, obrzuciła kałem szyderstwa i złośliwego dowcipu. Stojąc pośrod dwóch ostateczności Deotyma, wolała wierzyć pochwałom, niżeli przetężonej złości ludzkiej, i poszła drogą jaką iść musi każdy umysł, gdyby najdzielniejszy, jeźli się oderwie od życia, od społeczeństwa i od czasu swego, a wbiegnie w te mgliste krainy

abstrakcyi i ideologii, zkąd łyska w niezrozumiałych szatach mistycyzmu i nihilistycznej przezroczy na ziemi.

Ochłonąwszy z pierwszego zapału, poczęto na owej fenomenalnej gwiazdzie północy widzieć małe plamki a nawet o nich mówić. Ujrzano że poetka zasnuwa co raz więcej swą postać pajęczą tkanką mistyki i nihilizmu, a oczy śmiertelnych nadaremnie w nią patrzą, jak niegdyś w obłok patrzyli mężowie Galilei, gdy ich mistrz do nieba odszedł. Ośmielono się wreszcie ostrzedz ją przed tą krainą mgły i eteru, w której każdy duch żyjący na ziemi umrzeć musi, wskazano jej mnogie przykłady które się już stały prawdą historyczną, radzono, błagano usilnie, ale to już było za późno. Otoczona panegirykami zeszłego stulecia, upojona uwielbieniem młodszych, natchnionych krytyków, z szyderczym uśmiechem, z wzrokiem politowania słuchała Deotyma rad jej poczuciu uwłaczających, a gdy takowe przebrzmiały, rzuciła odurzonej krytyce prawdziwy extrakt owego mistycyzmu, a tym jest: „*Tomira, misteryum.*"

Spróbujmy jej treść opowiedzieć.

Na pochyłości Łysej góry jest klęcząca postać kamienna, o której wieść niesie, że posuwa się ku szczycie góry, dokąd jednak dopiero na sądnym dniu ma stanąć. To podanie służy Deotymie do zbyt subtelnej alegoryi dogmatu wiary. Rozsnuwa jego treść w następującym szkicu;

Wiek jedynasty już wplata się w dzieje
Czysta chrześciańska wieńczy go korona,
Kiedy natchnienie świętego Brunona
Kartuzom stwarza pustynię śród świata...
. . . .
Wśród tego mnichów i rycerzów ruchu
Dotąd pogańska, w pół dzika
Tylko z napadów swych znana
Monarchia Węgier występuje w dzieje...

Ale w Węgrzech włada już Wielki Stefan a świętość jego odzwierciadla się w duchu syna Emeryka. Wyprawiając go w świat po doświadczenia i wzory rzecze doń ojciec:

A wzorem królów dla całej ziemi
Jest dzisiaj władzca z potomków Piasta;
Pod jego rządy mądro-dzielnemi
Państwo jak cedr się rozrasta.
. . . .
Jedź więc do niego, przyjmie cię czule,
Bo Piast jak świętych czci gości;
Poznaj jak włada ten król nad króle
Obyś mu zrównał w przyszłości!

Tutaj zdjął Stefan krzyżyk z świętem drzewem i oddał synowi, aby mu był tarczą przeciw wszelkim przygodom. Jechał więc królewicz przez lasy i góry:

A gdy mu błysła smaragdowa rola:
Polska, zawołał — Polska bo już pola!

Bolesław Chrobry przyjął serdecznie Emeryka i tak go
. . . . . ukochał jak brata;
I zapomnieli zawiści dworzanie;
W każdym rycerzu ma on przyjaciela,
W całym narodzie czciciela.
I błyskawicą przemknęły się lata,
Aż przyszła powrotu doba.
. . . .
Wyjechał z Gniezna i król w całym dworze,
Na znak go cześci do Kielc odprowadza;
A gdy mu i tam trudno przychodzi pożegnanie,
— Czy widzisz, rzecze, tam ćmiące lazury
Gąszcz, co się ciągnie aż do Łysej góry?
Ptaków, jeleni, jak liści w tym borze:
Zostań dni kilka a wyprawię łowy.

Po tym wstępie poczyna się prawdziwe Misteryum w układzie dramatu, czyli raczej tak zwanych dyalogów średniewiekowynh. (C. d. n.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

II.

(Dokończenie.)

Temi myślami zajęty spojrzałem do okna i zobaczyłem wjeżdżającą w bramę budę żydowską. Poznałem ekwipaż starozakonnego Marcusa, co był Rotszyldem naszej okolicy. Czem manna i przepiórka izraelitom, czem kropla deszczu dla spragnionego Farysa, czem dla młodego męża wieść o śmierci półwiekowej żony lub o indemnizacyi dla szlachcica galicyjskiego, tem dla mnie był widok Marcusa.

— Jak się masz panie Marcus. Co tam nowego słychać?.

— Całuje stopnie, u nas nic nowego, a u Wielmożnego pana co!?

— Ot źle, bieda i zawsze bieda.

— Ny jak to bieda? Przecie wielmożny pan musi mieć pieniędzów, bo wielmożny pan postawił taką gorzelnię i budynków.

I utopił we mnie wzrok badawczy.

— Ej diabła tam mam.

Tu Marcus położył zaśnieżoną czapkę i rękawiczki które dotąd pod pachą trzymał, na stole.

— Ot wiesz panie Marcus, możebyśmy jaki interes zrobili?.

— Ny a jaki? Pozwoli wielmożny pan, bom bardzo zmęczony. I usiadł na krześle.

— Może kupisz okowity?

— Okowity, a na co mnie kupować, ja tem nie handluję; jabym z pozwoleniem napił się sznapsa.

Kazałem mu dać wódki, Marcus wychyliwszy kieliszek przekąsił wyjętym z kieszeni czosnkiem.

— A na co wielmożnemu pieniądzów?.

— Mam zboża kupić do gorzelni, akcyzę opłacić.

— Na zboże, na akcyzę, no to się to zrobi ale proszę też niech pan każe dać moim koniom owsa.

Cóż miałem robić, kazałem dać obroku.

— No cóż panie Marcus?

— Ny ja nie wiem, ja niehandluję, ale dla wielmożnego to zrobię, że moi szwagier kupi.

— Ba ale po czemu!.

— Ny po czemu tak jak inni kupują. Niech się pan nie gniewa, ale jabym się napił herbaty.

— Marcinie zrób tam herbatę, krzyknąłem z rezygnacyą.

— Ny, a po czemu, wielmożny pan chce?

— Po ryńskiemu.

— Pan chyba żartuje.

— Jak to żartuje! Czyż to nie wiesz, że zboże teraz drogie, że akcyza podwyższona.

— Co mnie do akcyzy.

— Ale przecież kiedy produkcya więcej kosztuje, to konsument powinien zapłacić.

— Kto to panu powiedział?

— Sam rozum to dyktuje.

— Ny co tam rozum, to wszystko na zielonym stoliku wyrachowane, a nam co do tego. Ja panu powiem, że teraz powinno być i będzie taniej bo tak jak pan, tak każden musi mieć pieniądze, a co pan sprzeda? Okowitę. A kto kupi? żydkowie, a żydkowie nie głupi drożej płacić, kiedy panowie muszą sprzedawać.

Otóż to praktyczne pomyślałem, i musiałem Marcusowi przyznać, że miał słuszność.

— Ja panu, to jest nie ja, bo ja nie handluję, ale mój szwagier da po 50 grajcarów, a pan mi da rebochem pare korców pszenicy.

— Czyś oszalał! Wszakże hrabia T. sprzedał po ryńskiemu.

— Ny, to co innego! On da okowite na 33 stopniów i dodaje 10 procentów. To niech pan porachuje.

— Na cóż on to zrobił?.

— Ny, dla honoru, żeby gadali, że on najdrożej sprzedał.

— A mój sąsiad N.

— To znowu co innego, ten sprzedał z prawem wykupna po 10 grajcarów od garca. My wiemy że on nie odda, ale nam zapłaci lichwę. My bardzo lubiemy z takiemi handlować, co to nieoddają, bo na takim co odda mały zarobek, ale na tych co się wikłają to dubelt zysk.

— A jak by wam nie oddał? Wszak on nie bardzo uczciwy, nikomu nie płaci długów tabularnych, niejednego już oszukał.

— Komedies, a nam co do tego, niech on oszukuje, niech kradnie, byle z nami żydkami dobrze się stawiał. On gdyby oddawał to co winien, gdyby nieoszukał swoich rodzeństwów, to by był głupi, ale on ma głów, on wie że mu żydowski kredyt potrzebny.

— Ja wielmożnemu panu coś powiem, ja dam pieniądzów na procent. Pozwoli pan cygaro zapalić.

— Dobrze, dobrze ale na jaki procent?....

— Ny, nie wielki, 5 od 100 na miesiąc.

— A cóż to, czy mnie masz za bankruta?

— Herste! czy to nie dają i więcej. Ja panu pokaże. I Marcus dobył dużego pugilaresu.

— Oto widzi pan. Pan Z. pojechał na karnawał do Lwowa, dałem mu 3000 na dwa miesiące, a patrz pan dał mi wexel na 3500. Potrzebował gwałtem, bo jakże kiedy się tam bawią, tańcują. Słyszałem jaki tam wielki Graf z niego, ale mówił mi ekonom, że pisał znowu po pieniądze; ja nie dam, ale kupię zboże. Oto pan W... wziął 2000 ryńskich na munes. Płaci mi półczwarta, ale za to kupił ogra angielskiego i parę dubeltówek z Paryża sprowadził. Ny, to pan K..

Marcus chciał mi wszystkie pokazywać wexle, ale cóż mnie to miało obchodzić? Byłbym pewnie żyda za drzwi wyrzucił, gdyby nie pamięć iż gwałtem potrzebuję pieniędzy, i nie widok, na któren mi ślinka szła do gęby, grubego zwoju banknotów, któremi doświadczony Marcus moje oczy pieścił. Koniec końcem po długiem targowaniu udało mi się pożyczyć pieniędzy na 2 od sta na miesiąc. Uuczyniłem to w nadziei że okowita podrożeje. Czy na tem nie stracę, sam Bóg raczy wiedzieć. I pozbywszy się Marcusa, któren wypił wódkę, herbatę, zabłocił mi pokój, nasmrodził czosnkiem i cygarem, wziął obrok dla koni i jeszcze parę indyków dla żony, ujrzałem się szczęśliwym że miałem czem potrzeby moje opędzić, lubo mi 2000 złr. lichwiarskiego długu przybyło.

Po podobnych dnia całego zatrudnieniach łatwo domyśleć się można, że mi się pisać wierszy odechciało, kończę zatem niniejszy obrazek następną uwagą:

Dziwią się ludzie że Cezar w jednej chwili dyktował dwa listy różnemi językami, że Napoleon I. z kwatery w Kremlinie urządzał operę włoską w Paryżu. Ale Czezar i Napoleon byli geniuszami, szlachcic zaś galicyjski, któren w dzisiejszych czasach wydoła swoim obowiązkom, i nie straci głowy czyż nie zasługuje na miano geniusza!

Dodać do tego, że czasem ma kłótliwą żonę, i piskliwe dzieci, a musisz przyznać szanowny czytelniku, że czasem szlachcic równy jest Cezarom lub Napoleonom.

Dezydery Ruralis.

Rozmaitość.

Z Tarnowskiego. Zmiany socyalne przyniosły nam i materyalne. Praca prawda otrzymała słuszne wynagrodzenie, płody ziemi po dwóch latach przesilenia niekorzystnego dla gospodarstw większych, przyszły do cen równoważących kapitałowi wkładowemu, i

wydatkom podejmowanym. Statystyka urodzonych, zmarłych i zaślubionych, jednakowo nas przekonywa, że znaczny jest ubytek ludności, a do wzrastającej zaś liczby żebractwa i ubóstwa, niechęć do pracy, o czem liczne skargi zewsząd nas dochodzą, przyczyniła się.

Niechęć ta nietylko w najmie, ale nawet w samem obsłużeniu małych, własnych gospodarstw pokazuje się. Dawniej włościanin chociaż więcej gruntu posiadający, nie zostawiał dla inwentarza na paszą dalszych gruntów, żywił się letnią paszą we dworze, w zamian której ręczną pracą lub ciągłą robocizną wypłacał się; a pola swoje jeżeli dalekie, chałupnikom nieposiadającym ziemi wypuszczał. Tym sposobem uprawa gruntów była ciągłą i ciągle polepszaną; bo i włościanin bez ziemi utrzymywał inwentarz i poprawiał pola dzierżawione.

Dzisiaj przeciwnie, właściciel mniejszy wyraźnie nie chce aby przy nim komornik albo czeladnik pożywił się, nieobsiewa wszystkich gruntów, co dalsze odłogami zapuszcza na lichą paszę, aby i za nią nie był obowiązany większemu posiadaczowi pracować, nie sieje roślin pastewnych aby przyjść w pomoc inwentarzowi i jałowym gruntom; marnuje więc ich użytek, i tym sposobem byt włościan bez ziemi jest opłakanym, a mniejszych gospodarstw co do produkcyi, gorszym. A gdy dołożymy że expoddani galicyjscy, nigdy nie oglądali się na przednowek i gospodarnymi nie byli, pojmiemy łatwo, że teraz niemając wydatków na czeladź i obsługiwanie dworskich gruntów, co tylko zbiorą, na miejscu sami zużyją, z czego dawniej trzy, cztery familije żywiło się.

Nieobsuszanie gruntów, około których rzeczki, potoki i rowy zupełnie pozamulane, wiele do tego przyczynia się, i na ogólny upadek gospodarstw wpływa. Jakże albowiem i właściciel większy może swoje pole zabespieczyć, albo na nowo go obsuszyć, kiedy zaraz niższy sąsiad jego, żadnego przekopu lub wreście rowu tylko, niezrobi, aby wyżej zebraną wodę przyjął, kiedy dawniej gdy jurysdykcya przy dziedzicach zostawała, od wypełnienia tego nie usuwał się. Pomówmy krótko o tem.

Na wiosnę w roku zeszłym wys. rząd chcąc w pomoc przyjść gospodarstwom większym upadającym, zawezwał przez tutejszy c. k. urząd obwodowy kilku właścicieli większych, i w sztuce gospodarstwa biegłych, aby zdanie swoje podali: czyli zamiana gruntów dworskich w wielu miejscach porozrzucanych, z dawnemi poddanemi aby zrobić obszerne łany w jednem ograniczeniu, i obsuszenie niskich gruntów, byłaby możliwą, potrzebną i korzyść dla ogółu przynoszącą, i jakby najskuteczniej do tego przyjść można? Zapytania takie były zapewne i w innych obwodach zrobione. Naradziwszy się odpowiedzieli: »że zamiana gruntów, kiedy obsłużenie większych gospodarstw tyle jest utrudnionem, byłaby dla ogółu korzystną» Traktując rzecz tę czysto ekonomicznie, nie wchodząc w to że włościanie jeszcze w roku 1847 patentem najwyższym zostali właścicielami gruntów posiadanych, niewdając się czyli między «moje a twoje« jest jaki środek do wytłumaczenia przed sobą samym przymusowej zamiany, przedstawili przy tem: »aby zamianę taką, dobrowolnie wprzód z właścicielami mniejszemi pod opieką wysokich rządów traktować; a gdyby ta nienastąpiła (o czem znając upór i podejrzliwość expoddanych naszych możemy być pewni) uskutecznić ją sposobem przymusowym; osuszenie zaś gruntów pozostawić aż do zamiany skończonej.«

Nieprzewidywali wtedy, że zamiana taka dla innych ważniejszych zatrudnień władz politycznych prędko rozpoczętą być nie może: gdy obsuszanie gruntów, nietyle formalności wymagające, i w chwili dokonania korzyści niezaprzeczone obiecujące, wiele łatwiej uskutecznione być może. Wszak właściciel obsuszywszy swój grunt, chociażby przed zamianą, kosztów na to wyłożonych niestraci, gdyż grunt ulepszony wyżej zaraz o jednę klasę w urodzajności uznanym zostanie i na to wzgląd zawsze będzie. Czyliż w ostatku dla niepewnej zamiany, z poprawą konieczną wstrzymywać się można?

Dla tego życzyćby należało, aby szanowne towarzystwo gospodarskie krajowe, kwestyą tę nie cierpiącą zwłoki, jeszcze przed wiosną wysokiemu rządowi przedstawiło; właściciele więksi albowiem są nieraz w takiem położeniu, że posiadacz mniejszy nietylko przez swoje pole rowu przebrać dla wody albo strumyka podebrać niechce, ale nawet właścicielowi większemu własnym jego kosztem przez pole swoje dopełnić tego koniecznego sposobu zrobienia pola użytecznem niepozwoli.

Służebnictwo przyjmowania wody od dawna prawami jest zapewnione: przymus więc do ułatwienia jej odpływu do każdego zastósowanym być może. Jednak przymus w tym razie, tylko na drodze ogólnego rozporządzenia i ścisłego dopilnowania w wykonaniu przez c. k władze polityczne pomocnym być może, proces albowiem poszczególny z każdym niechętnym, tylko zatrudnienie władzom, a właścicielom oprócz kosztów i straty czasu, skutku pożądanego przynieść nie może. J. K.

* Udzielono nam odpisy testamentu i fundacyi ś. p. Jana Maciąga z których ważniejsze szczegóły podajemy:

W zapisach dla familii widzimy wzór przywiązania do rodziny. Jan Maciąg przyszedłszy do majątku, i wzniosłszy się do dosyć wysokiego urzędu, opuściwszy przed kilkudziesięciu laty wieś rodzinną, nie zapomniał o ubogiej włościańskiej rodzinie. Widać zajmowały go losy rodziny jego, bo znał rozgałęzioną dosyć rodzinę dokładnie, i to od najstarszych, aż do najmłodszych. Dla 24 osób zapisał po 600 złr. m. k,

Oto są punkta testamentu, w których zapisuje legata:

«Na uposażenie szkółki polskiej we wsi Dzikowiu obwodu Rzeszowskiego fundować się mającej, tysiąc złr. m. k. banknotami. — Przytem zastrzegam wyraźnie, by ten legat do funduszów szkółki niemieckiej w Wildenthalu pod żadnym warunkiem nie mógł być pociągnięty. Upraszam egzekutora testamentu o dołożenie wszelkiego starania, by ta szkółka jak najspieszniej w życie wprowadzoną była.

Zakładowi agronomicznemu lwowskiemu, na cel fundacyi stypendiów dla uczniów szkoły agronomicznej przy zakładzie agronomicznym lwowskim, wedle osnowy osobno ułożonego aktu fundacyi dziesięć tysięcy złr. m. k. banknotami.

Zakładowi agronomicznemu krakowskiemu na cel fundacyi stypendiów dla uczniów szkoły agronomicznej przy zakładzie agronomicznym krakowskim, wedle osnowy wyżej powołanego osobnego aktu fundacyi, dziesięć tysięcy złr. m. k. banknotami.

Lwowskiemy zakładowi ślepych sto złr. m. k. banknotami.

Lwowskiemu zakładowi głucho-niemych sto złr. m. banknotami,

Lwowskiemu zakładowi ochrony małych dzieci sto złr. m. k. banknotami.

Ubogim wsi Dzikowca w obwodzie Rzeszowskim sto złr. m. k. banknotami, które ksiądz Proboszcz Dzikowca między stu członków najuboższych tej gminy podzielić ma.

Księdzu proboszczowi w Dzikowcu sto złr. m. k. banknotami, pod obowiązkiem aby na mszę świętą dla mej duszy odprawić się mającą mieszkańców Dzikowca zaprosił i przy tej sposobności tychże do fundowania szkółki (na którą jak wyżej tysiąc złr. m. k. zapisałem,) tudzież do posyłania dzieci do szkół zachęcił, tymże treść i cel mego testamentu i fundacyi stypendyiów wyjaśnił i jako gorliwy pasterz duchowny pobudzać nie ustawał do nabierania oświaty, cnoty, pracowitości, a tem samem do osiągnienia lepszego bytu i wyższej moralnej wartości.

Życzę sobie, by ciało moje bez wszelkich wystawności wedle obrządku chrześciańskiego pogrzebanem było.

Akt fundacyi podamy w następnym numerze. Tu tylko umieszczamy z testamentu szczególniejszą uwagę, jaką przy końcu testamentu umieścił, reklamując polską pisownię swego nazwiska.

Uwaga. Piszę się stosownie do polskiej pisowni «Maciąg» i tak nazwisko moje w metryce i zaświadczeniach szkolnych pisanem się znajduje, podczas gdy w dekretach urzędowych moje nazwisko często wedle pisowni niemieckiej «Maciong» wpisanem się znachodzi. Ja również często tak się podpisywałem, a nawet niektóre moje wierzytelności na moje imię wedle tej ostatniej pisowni zaintabulowane się znajdują. Ta różnica pochodzi ztąd, że będąc w urzędzie wWiedniu, moi współurzędnicy niemieccy wymawiali moje nazwisko «Maciag« tak iż spowodowany byłem przyjąć pisownię niemiecką, pisząc się Maciong, podczas gdy moje nazwisko właściwe Maciąg pisanem być powinno.

* W numerze 28. Nowin w oddziele Rozmaitość str. 237. doniesiono, że w tym miesiącu 11go 18. i 25 marca dawane będą w sali redutowej ranki muzykalne, les matinées, przez amatorów i *towarzystwo muzyczne*. Jak się dowiadujemy towarzystwo muzyczne w tychże rankach muzykalnych żadnego nie bierze udziału, atoli przygotowuje się do wykonania wielkiej Symfonii-Kantaty utworu Karola Haslngera pod nazwą «Napoleon« na dzień 25. marca b. r. w teatrze hr. Skarbka, przy której przeszło 200 osób czynnych będzie.

Biletów na matinee musicale dostać można w księgarni pp. Wilda i Kallenbacha.

Przyjechali od dnia 7. do 9. Marca do Lwowa.

PP. Niezabitowski Kwiryn, z Płuchowa. Łomnicki Karol, z Wareża. Kruszyński Henryk, z Janowa. Masłowski Marcel, z Dąbrowicy. Porębalski Jerzy, z Rudawki. Obertyński Wacław, ze Sawczyna. Turczyński Jan, ze Żółkwi. Gross Piotr, z Koniuszek. Strzelecki Eugieniusz, z Wyrowa. Paszkudzki Ignacy, ze Żędowic.

PP. Thorznicki Juliusz, z Cucułowic. Arciszewski Albin, z Wolicy. Lanckoroński Teodor, hr. z Poddubiec. Tustanowski Julian, ze Żurawna. Remer Erazm, ze Zaszkowa. Zakrzewski Adolf, z Przemyśla. Chojecki Jan, ze Stryja. Pietruski Konstanty, z Rudy. Żołtowski Jan, z Buczacza. Tretter Hilary, z Dzwiniacza. Tretter Konstanty, z Łonia.

Wyjechali od dnia 7. do 9. Marca ze Lwowa:

PP. Paygert Stanisław, do Krzywenki. Chwalibóg Jan, do Lipowiec. Brzeżany Maurycy, do Żółkwi. Antoniewicz Wincenty, do Skwarzawy. Zamojski Adam, hr. do Łopatyna. Christiani Henryk, do Trzciany.

PP. Komorowski Edward, hr. do Wolicy. Schubert Franciszek, do Krakowa. Sozański Jan i Leopold, do Tarnopola. Malczewski Julian, do Skwarzawy. Kochański Wiktor, do Gorczyc. Kozowski Jakób, do Brzeżan.

Lwów, 9. Marca. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 34 złr. — kr. do 37 złr. 60 kr. — Żyta po 25 złr. 50 kr. do 30 złr. — kr. Jęczmienia po 22 złr. — kr. do 26 złr. 20 kr. Owsa po 17 złr. 80 kr. do 19 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr do — złr. — kr. Hreczki po 19 złr. — kr. do 22 złr. — kr.— Ziemniaków po 11 złr. 15 do 13 złr. 45 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 37 złr. 45 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 31 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 38 kr. Centnar słomy 3 złr. — kr. do 3 złr. 20 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 9. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr.	$126\frac{3}{4}$	Pożyczka 5% $82\frac{13}{16}$ $4\frac{1}{2}$	72
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{3}$	Akcye banku	1008
Londyn za 1 funt szterl.,	12 20	Kolej północna	$1921\frac{1}{4}$
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków	148	Nowa pożyczka z loteryą	106
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa	$85\frac{12}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 48	złr. 5	kr. 52
Dukat cesarski	« 5	» 53	» 5	« 56
Półimperyał zł. rosyjski	« 10	« 5	» 10	« 10
Rubel srebrny rosyjski	» 1	« 59	« 2	» —
Talar pruski	» 1	« 54	» 1	« 57
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 26	» 1	« 27
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	» 93	« 40	» 94	« 10
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	74	» 55	» 75	» 15
5 proc. pożyczka narodowa	85	» —	» 85	« —

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**